

192 KILOMETRY.....WIŚLANEJ PODROŻY !!

Były to czasy kiedy tysiące pomysłów kotłowało się w rozgorączkowanych głowach, myśli wyprzedzały słowa, a słowa czyny, z reguły nigdy niezrealizowane. A jedne od drugich były coraz to bardziej fantastyczniejsze, szczególnie kiedy „okowity” (Patykiem Pisane) ubywało w butelkach ale przybywało w naszych głowach. (zasada naczyń połączonych)

Tak, tak, ..te stare bez troskie studenckie czasy, bo o nich to mówię, pozostawiły jedną szczególną cechę która towarzyszyła mi i towarzyszy przez całe życie. Chęć poznania świata, czyli innymi słowy, zamiłowanie do podróży.

Tak więc, dyskusje stawały się coraz zażartsze, choć nie kłótniwe, projekty podróży coraz



śmielsze i wręcz dziecinnie proste w realizacji. Dziwne, że nikt jeszcze na nie nie wpadł! Jednym z takich projektów który jednak nie wyszedł poza fazę słownych projektów, był lot balonem.....na księżyc!! Ktoś na szczęście „przytomnie” zapytał a co będzie jeżeli nas zniesie z kursu i wylądujemy na jakiejś galaktyce odległej o milion lat świetlnych.? Toż po powrocie możemy nie zastać już kumpli, a nasza Alma Mater (Akademia Gorniczo Hutnicza) może już nie istnieć. I gdzie wtedy „zaliczyć” kolejne egzaminy?

Projekt marszu na piechotę do Władywostoku (wschodnie wybrzeże Rosji), został porzucony z obawy, że „drogi braterski lud” może nasze kroki skierować do najbliższego „archipelagu” (tego opisanego przez Sołżenicyna) z łatką „szpiona” przypiętą w aktach „na wiegda”!

Kolejna podróż-marzenie, na rowerach do Chin została skutecznie zablokowana przez naturę, czyli mur chiński. (głową muru nie przebijesz). A kajakiem do Szwecji? Nic oryginalnego –byli przed nami inni. Ostatni projekt podróży na gapę na jakiś zagubiony archipelag, też nie doczekał się realizacji, gdyż przyszli podróżnicy nie chcieli być przez przypadek zakąskąna śniadanie jakiegoś kacyka w polinezyjskim buszu. Niemożliwość zrealizowania chociaż jednej z takich podróży, zniechęciło nas całkowicie do rozważań na te tematy na dłuższy okres czasu.

Ale gdzieś tam się tliła ta mała iskierka nadziei, nigdy do końca nie wygaszona. Rok 1966 i kolejna czekająca nas letnia sesja egzaminacyjna oraz zbliżające się wakacje, zmusiły nas niejako na kolejnym „posiedzeniu”, do snucia konkretnych planów letnich podróży. Kiedy wydawało się, że i tym razem nic z tego nie wyniknie bo i w głowach tego szumiało, ktoś z naszej trójki (ja, mój brat Jacek, i nasz kuzyn Antoni), rzucił hasło popłynięcia pontonem Wisłą, z Krakowa do Sandomierza. Pomysł jednogłośnie zaaprobowany i a termin ustalony na koniec czerwca po zakończeniu sesji egzaminacyjnej. Pozostała sprawa zakupu „statku”. To też okazało się proste gdyż już na początku czerwca znaleźliśmy bez problemu w sklepie„Spółka Rolna” dwuosobowy ponton (mieścił trzech) a za resztę funduszu wycieczkowego, dokupiliśmy dziecięcy nadmuchiwany pontonik w kształcie Canoe, który miał nam służyć jako „jednostka” bagażowa. Aby formalności stało się zadość należało dokonać chrztu i uroczystego wodowania, naszej”pełnomorskiej”

jednostki, która otrzymała nazwę m/s Sandomierz. Żeglarze wiedzą że „m/s oznacza napęd motorowy. Ale przecież ponton.....? Tak, tak miał 3-konny silnik (było nas trzech chętnych do wiosłowania). Z okazji tej zaprosiliśmy naszych znajomych na tą uroczystość nad Wisłę pod Wawelem. W przeddzień wodowania mieliśmy trochę markotne miny gdyż na symboliczne rozbiecie o burtę przeznaczaliśmy jedno „Patykiem Pisane”. Fundusz wyprawy wykazywał manko, więc o „szampanskoje” mogliśmy tylko pomarzyć. No, ale i „Patyczka” też nam było szkoda tak wylać do wody za „bezdušno”, narażając przy tym biedne rybki na odwykówkę. Aby więc coś wymyśleć, należało (zgodnie z logiką) najpierw opróżnić to co było w butelce „chrzesnej”. Po tym pomysł wiania do „Patyczka” herbaty, sam się napatoczył. Tak więc przedostatnia poważna przeszkoda, blokująca spływ, została rozwiązana z korzyścią dla rybek i naszego dobrego samopoczucia. Następnego dnia w sobotę, odpływam z Andrzejem (student prawa), czuwający nad „formalną” stroną spływu, parę metrów od brzegu i na oczach naszego towarzystwa oraz licznie zgromadzonej gawiedzi, wylewamy na burtę (komorę) pontonu „winko-herbaciane”. Na brzegu gromkie oklaski, po wygłoszeniu przez matkę chrzesną formułki „ I pływ po oceanach świata, orazsalwy śmiechu gdyż na burcie pozostały fusy po herbacie.!! Ostatnia formalna przeszkoda została więc pomyślnie załatwiona. Mam na myśli wodowanie i chrzest pontonu a nie te fusy, które niczym permanentna czkawka odbijają się do dziś, w mojej pamięci.

DZIEŃ PIERWSZY

W poniedziałek rano, spod Wawelu w Krakowie, odbija od brzegu trzyosobowa wyprawa pontonowa do Sandomierza, Po drugiej stronie Wisły widoczna tablica z cyfrą 77 (tyle kilometrów liczy sobie Wisła od źródeł, do tej tablicy). Mamy więc przed sobą 192 kilometry wiślanej podróży. System wiosłowania jest prosty. „Galernik” wiosłujący tyłem do kierunku spływu pociąga silniej prawym lub lewym wiosłem w zależności od komend przekazywanych z „mostku kapitańskiego”, czyli dwóch pozostałych uczestników, siedzących w tylnej części pontonu. Lewa, prawa, prawa, prawa, lewa oto cała gama komend docierających do wiosłującego. Zakładamy 3 dni na pokonanie całej trasy, co daje około 65 km na dzień. Wkrótce niespodziewana przeszkoda na trasie spływu, zaporą „Na Dąbiu”. Perspektywa przepłynięcia jej nie wchodzi w rachubę, dlatego acz niechętnie, dobijamy do brzegu i przenosimy nasz cały „majdan” bokiem na drugą stronę zapory. Nikomu z nas nie przyszło przestudiować wcześniej trasę spływu !(a o internecie i przenośnych komputerach, wtedy jeszcze nawet wróble nie ćwierkały).

Ładujemy się powtórnie za zaporą do pontonu, ciągnąc na sznurku za sobą w „canoe” nasze „kwaterymistrzostwo”. Pogoda pod wieczór już wyraźnie nastawiona na polanie nas deszczkiem (co i wkrótce się stało). Ale bardziej od pogody, niepokoi naszą uwagę stan wody, który wyraźnie się podnosi, zwłaszcza po minięciu ujścia rzek Raby, Szreniawy, Nidzicy i Dunajca do Wisły. Mamy nadzieję, że rano nieco opadnie. Powoli rozglądamy się za noclegiem, zwłaszcza, że mijamy tak niewiele wiosek. Już o zmierzchu, wpływamy w Opatowcu na zalaną przybiórkową wodą łąkę, zatrzymując się na cementowym słupku tuż przed pierwszą stodołą. Gospodarz chętnie pozwala (ach gdzie te czasy) na nasz nocleg w stodole, dodając do tego jeszcze zsiadłe mleko z razowymi pajdami chleba (wszystko gratis dla studentów!!) i wysłuchując od nas „wiadomości ze świata”. Miał nadzieję, że Jacek-„geodeta” pomierzy mu działkę nad Wisłą, ale na szczęście dla nas została zalana wiślaną wodą. Po tak gościnnym przyjęciu, padamy na siano (ach ten zapach) jak te przysłowiowe muchy, by natychmiast zasnąć snem kamiennym.

DZIEŃ DRUGI

Poranne słońeczko łaskocze nas swoimi promykami, dając do zrozumienia, że nie ma czasu na lenistwo. Wstajemy. Stan wody na Wiśle jeszcze wyższy , ale w dzień nie wygląda to zbyt groźnie. I znowu nikomu z nas nie wpadło do głowy na sprawdzenie pontonu po wczorajszej kolizji z kamiennym słupkiem, a mogło to nas drogo kosztować- nasze własne życie. Żegnamy się z gospodarzami i wpływamy na nurt Wisły, który jest dużo szybszy aniżeli wczoraj. Lżej będzie wiosłować, mówimy sobie dla dodania otuchy. Nida i Wisłoka, to kolejne rzeki dolewające „oliwy do ognia” (wody). Po południu wygląda

to już groźnie. Słońce wkrótce chowa się za chmury i już nie pojawi się ono do końca naszego spływu. Zaczyna padać. Na wodzie pojawia się dużo wirów, chcących wessać intruzów do dna. Woda w Wiśle mętna, z dużą ilością piany unoszonej na jej powierzchni i wyprzedzającej nasz ponton. Znak. Że woda ciągle przybiera. Jak na tę porę roku, jest zimno i wietrznie. Przelotne deszcze też nie uprzyjemniają nam żywota na „łajbie”. Markotniejemy nieco i tylko komendy podawane wiosłującemu, przerywają tą złowieszczą ciszę. W pewnym momencie „Canoe” dostaje się w silny wir, uderzając w naszą burtę. Zachwiało nami nieco. I wtedy zdajemy sobie nagle sprawę, że wypadniętemu z pontonu, rzeka nie dałaby żadnych szans, zwłaszcza, że ze względu na przejmujące zimno i deszcz, mamy wszystkie możliwe „ciuchy” na sobie, poruszając się z gracją niedźwiadka. Dociera także do „mojego komputera”, że nasz kuzyn „Tolo” zna się tak na pływaniu jak ja na astronomii. Choć jak wspomniałem poprzednio, i tak by to nic nie pomogło w przypadku przymusowej kąpieli na tej przybiórkowej wodzie. Ale zawsze byłaby jakaś szansa. A po obu brzegach koryta Wisły, częściowo zatopiona w powodziowej fali, wiklina. Z poziomu rzeki, za wałami nie widać żadnego domostwa. Nie mamy odwrotu. Musimy płynąć dalej! Na nocleg decydujemy się nieco wcześniej, gdyż jesteśmy solidnie zmoczeni i zmęczeni. A na pontonie, nie ma możliwości przebrania się. Mała górka tuż koło wału, chyba gdzieś w rejonie Szczucina, służy nam za pole namiotowe, a raczej miejsce gdzie pod wojskowymi pałatkami, prowizorycznie rozpiętych na wiklinowych gałęziach, uda nam się do rana uniknąć zmoczenia przelotnym deszczem i coś przekąsić, choć na zimno. Rozpalenie ogniska jest całkowicie nierealne tak jak nierealna wydaje się sytuacja w której się znajdujemy.

DZIEŃ TRZECI

Ranek nie rozwiązuje wczorajszych wątpliwości. Zimno, zacinający kapuśniaczek, mglisto oraz woda od wału do wału stawiają przed nami mnóstwo wątpliwości. To już nie jest ta cudowna Wisła nad którą się wychowałem od dziecka. To jest już rzeka żywioł, groźna i nieobliczalna. Już nikt nad nią nie ma kontroli, oprócz natury. Nie wybacząca żadnemu śmiałkowi najmniejszego błędu. Mimo wszystko, a może właśnie dlatego, decydujemy się płynąć dalej. Do Sandomierza już tylko 65 km. Na powodziowej fali płyniemy bardzo szybko. Praktycznie nie wiosłujemy starając się trzymać tylko dziób pontonu do przodu i blisko brzegu choć jest to sprawa umowana, gdyż jest on parę metrów pod nami. Płyniemy dużo szybciej aniżeli wczoraj. Miejscami szorujemy bokiem pontonu po wiklinach, czego staramy się uniknąć bo w przypadku natknięcia się na ułamaną gałąź.....Lepiej nie myśleć bo mimo dwukomorowej budowy pontonu, na nic by się to nie zdało. Nie decydujemy się na płyniecie środkiem Wisły, gdyż tam na głównym korycie, panuje już wszechwładnie wodny żywioł, niosąc z sobą ku zagładzie konary gałęzi, powalone drzewa i „ukradzione” z łąk kopki siana. Mijając Baranów Sandomierski a następnie widoczny na skarpie Tarnobrzeg czyjemy się jak u siebie w domu. Dopiero teraz zorientowałem się, że towarzyszący nam przez prawie całą podróż deszcz już nie pada, dając widocznie za wygraną. I wreszcie tuż przed ujściem Koprzywianki, (jesteśmy miejscowi, więc domyślamy się gdzie jest jej ujście) zza zakrętu, wyłania się nasz ukochany Sandomierz, jeszcze częściowo spowity w nisko przesuwających się chmurach, jeszcze ociekający resztkami deszczu, ale z wyraźnie górującą na wzgórzu białą sylwetką zamku dumnie strzegącego królewskich traktów prowadzących do miasta ku bramie Opatowskiej. Chyba nigdy mi nie był, w tych studenckich czasach tak bliski sercu jak dzisiaj. Może dlatego, że jeszcze raz los pozwolił mi cieszyć się jego widokiem, czarem starych murów, wąskich uliczek starego miasta, tajemniczych lochów i legend? Mijamy Koprzywiankę I już za chwilę lądujemy koło starej przystani żaglowej, mijając po drodze wodomierz wskazujący około 4 metrów powyżej stanu normalnego. Teraz dopiero odczuwam olbrzymią ulgę. Myślę że i Tolo oraz Jacek, czują to samo. Wyrzucamy wszystko z pontonu, odpowiadając na pytania nielicznie zgromadzonych ciekawskich. Odwracamy ponton do góry aby wylać z niego wodę. W przodzie pontonu, tam gdzie najechaliśmy w Opatowcu na słupki betonowe, pierwsza warstwa pokrycia jest oderwana na długości 2-3 cm, tworząc mały jęczyzek. Natomiast z pod niego wystaje bąbel rozmairów małego guza, który jest nadymany do granic wytrzymałości. Spojrzeliśmy na siebie bez słowa. Milczenie

wystarczyło za wszystko. Dzięki Ci jeszcze raz Panie.

Epilog:

A kamizelki ratunkowe zostały w Krakowie. Była to jedyna rzecz którą zapomnieliśmy z sobą zabrać na spływ.

W następnym roku przepłyneliśmy tą samą trasę razem z Jackiem jeszcze raz, przy pięknej słonecznej pogodzie i bardzo niskim stanie wody na Wiśle. Też z pewnymi przygodami i emocjami. Ale o tym może kiedyś.....

A kuzyna Tolka, parę lat później, w porę wyciągneliśmy z Wisły gdy już tylko parę sekund decydowało o jego życiu. Pływać dobrze nie nauczył się nigdy.....

Jozef Kolodziej